Bezpłatny dodatek do Nr. 223 „Głosu Narodu“.

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr. 20. Kraków, sobota, dnia 15-go sierpnia 1936 r.

IRENA TUROWSKA.

Dwanaście godzin w Istambule.

Istambuł w pierwszej godzinie, widziany z daleka, z okrętowego pokładu — to las smukłych, jakby rzeźbionych w słoniowej kości minaretów, których iglice lśnią na lazurze nieba w złotych blaskach słońca złotem półksiężyców.

Istambuł zdaleka — to istne morze ołowianych kopuł nad ogromnemi śnieżnej białości meczetami, to wieniec spiętrzonych amfiteatralnie kamienic różowych i białych, pałaców. kiosków, altan, przeplatanych ciemną zielenią cyprysów i szaremi plamami murów i baszt, szczątkami dawnych warowni rzymskich.

Istambuł zdaleka to jeszcze cały szereg miast z Galatą i Perą na europejskim, a zaś Skutari na azjatyckim brzegu, miast, tak cudnych i świeżych, jakby dopiero przed chwilą wyłoniły się ze szmaragdowej toni Bosforu i z fal Morza Marmara tylko po to, by swą urodę podziwiać w zwierciadle Złotego Rogu.

Gdy jednak s/s Kościuszko przybił do mola w Galacie, znikła w tej chwili fantastyczna wizja egzotycznego grodu, opromienionego urokiem krwawej sławy, owianego tajemniczą miłością haremów, znanego z bogactw i szaleństw padyszachów, z okrucieństw janczarów.

W PORCIE.

Nic nie pozostało ze wschodniej baśni tysiąca i jednej nocy; zamiast zaczarowanych pałaców wznoszą się szare, portowe budynki, a w koło nich również szary, w europejską tandetę odziany tłum wielojęzycznych przewodników i przekupniów.

Obok stosu zardzewiałych szyn beznogi kaleka rozłożył swój kram z pocztówkami i albumami, z makatkami, które mienią się w słońcu od złocistych, srebrnych i jedwabnych nici kolorami tęczy.

Na żelaznym płocie rosyjski emigrant, malarz, rozwiesza swe wschodnie arcydzieła, straszliwe kicze błękitno-żółte z setkami minaretów, i kopuł i Turków w fezach, w turbanach, wiosłujących na lekkich zwinnych „kaikach“, których w rzeczywistości wcale nie widać w zatoce Złotego Rogu. Zresztą na obrazkach jest to wszystko, z czego tylko ślady pozostały w nowym, przez Atatürka rozbudowanym Istambule.

KONTRASTY.

Przez wspaniały most na Złotym Rogu, koło meczetu Valide czyli Sułtanki-matki, mkną auta ku najstarszym krańcom miasta. Po drodze mijają nas czarne, nowiuteńkim lakierem połyskujące limuzyny — to dzisiejsza, zmotoryzowana Turcja, za którą karawanami powolnych kłapouchów, objuczonych koszami marchwi i sałaty, wlecze się krok za krokiem Turcja dawna, brudna, odziana w łachmany, tylko pozbawiona malowniczych turbanów i fezów.

Wzdłuż europejskich, szeroko i prosto wytyczonych ulic, wznoszą się okazałe, nowoczesne gmachy. Tam wśród platanów rysuje się jasna sylweta szpitala, tu na otwartym placu szkoła pilotów, dalej kilka jeszcze wielopiętrowych kamienic i oto koniec Turcji nowej.

Zamiast asfaltu wyboje podmiejskiej drogi, z której porywają się tumany kurzu, przesłaniając widok, szczęściem na krótko, bo już stajemy za Bramą Adrjanopolską, która oparła się barbarzyńskim hordom Awarów. W roku 1453 nie wytrzymała jednak natarcia Mahometa II, który tędy wkroczył do zdobytej stolicy bizantyńskich władców na czele czternastu tysięcy janczarów.

Obok bramy widnieją szczątki dawnych bizantyńskich murów, zwaliska zamku, baszt, wieżyc, które wznosili w pocie czoła niewolnicy Teodozjusza.

U podnóża starożytnych ruin rozłożyły się szerokiem półkolem lepianki biedoty. Na zachwaszczonych podwórkach, koło śmietnisk bawią się chude, obdarte dzieci i zdaleka, nieufnie patrzą na obcych: ale żadne nie podbiegnie, nie wyciągnie ręki, bo żebrać w Turcji nie wolno.

Widmo nędzy i zaniedbania króluje jednak wśród tych ruin i wyrasta pokrzywą na starym tureckim cmentarzu, kwitnie ostem wśród nagrobków zakończonych turbanami z kamienia, lub znaczonych gwiazdą, na mogiłach pobożnych pielgrzymów do Mekki, którzy zakończyli swą wędrówkę do wieczności.

W MECZETACH ISTAMBUŁU.

Tym samym bezbrzeżnym smutkiem, co groby, tchną również wspaniałe meczety, których ogromnego wnętrza nie jest w stanie ani zapełnić, ani ożywić grupa przygodnych turystów, chociażby liczyła i pół tysiąca osób.

Może zresztą tylko na nas wywierają mosZeje tak przygnębiające wrażenie swą pustką, bo przywykliśmy do świątyń ozdobionych mnóstwem ołtarzy, posągów, obrazów i kwiecia. Teraz obojętnie patrzymy na ogromne płaszczyzny ścian, na gołą modlitewną niszę zwaną mihrab, zwróconą w stronę Mekki.

Jedyną ozdobą meczetów są barwne, puszyste kobierce, dziękczynne podarunki wiernych, zresztą oprócz wzniesienia dla muftiego i dla chóru, oraz rzeźbionych w alabastrze lóż sułtańskich w pobliżu mihrabu niema żadnych sprzętów ani w meczecie Sulejmana, ani w meczecie Achmeda, różniącym się od poprzedniego tylko sześcioma minaretami na zewnątrz, a wewnątrz szerokim niebieskim fryzem z fajansowych kafli, od którego nawet meczet ten otrzymał swą drugą nazwę niebieskiego.

AJA SOFJA.

Daremnie oczekujemy silniejszych wzruczeń, zbliżając się do Aja Sofji, która ginie na zewnątrz w labiryncie szpetnych przybudówek. Nawet kopuła zbliska wydaje się niepozorna i wprost wierzyć się nie chce, zanim nie przestąpimy progów dawnej bazyliki, że nawet muzułmanie ten nieforemny kolos przezwali tronem Allaha i wozem cherubów. Cztery niezmiernie wysokie i bardzo białe minarety strzegą gmachu, który przed pięcioma blisko wiekami przestał być chrześcijańską świątynią zamieniony w meczet, a już od lat dwóch na życzenie Ataturka przeistacza się powoli z moszei w muzeum.

Dzięki pracom Amerykańskiego Towarzystwa Archeologicznego w przedsionku o białych, marmurowych ścianach, wyjrzał z pod tynku prześliczną mozaiką znak krzyża i postać zamyślonej, bizantyńskiej Madonny w otoczeniu skrzydlatych aniołów i surowa twarz Boga-Ojca, nad którego głową, krąży biała gołębica — Duch święty.

Zresztą wnętrze samej bazyliki ogołocone jest ze wszelkich oznak kultu. O tem, że gościło tu chrześcijaństwo, świadczy pusta absyda z trzema oknami, które według legendy cesarz Justynian z polecenia anioła rozkazał wykonać, jako symbol trzech osób Trójcy Przenajświętszej.

Po niedawnym meczecie również niewiele pamiątek zostało: a więc mihrab wydrążony w lewym najbliższym absydy filarze i podjum z białych desek ustawione prostopadle do mihrabu, a skośnie w stosunku do nawy głównej, której kierunek nie odpowiadał dokładnie położeniu Mekki.

W ciemnym kącie leżą zielone tarcze, na których złotemi znakami wypisano wersety z Koranu, nic więc już nie zasłania filarów i kolumn z różnokolorowych zielonych, czarnych, czerwonych, białych i żółtych marmurów, które cesarz Justynian sprowadzał z dawnych pogańskich świątyń i pałaców patrycjuszów w Efezie, Atenach, Rzymie, Aleksandrji, pragnąc, żeby kościół „Świętej Mądrości“ zaćmił sławę chramu Salomona.

Dziś wnętrze Aja Sofji, mimo korynckich, jońskich, arabskich i perskich kolumn, mimo rzeźbionych po mistrzowsku balustrad i galeryj, mimo sławnej kopuły, którą poeci zwali niebem z kamienia i drugim firmamentem, jest niewymownie smutne jak wspaniały sarkofag świetnej przeszłości.

REWJA UPIORÓW.

Jeszcze dzwoni w uszach bezgraniczna cisza ogromnej bazyliki, jeszcze rysują się przed oczami potężne łuki sklepień, gdy wstępujemy w progi bizantyńskiego kościoła św. Ireny, jedynego, który nie był wprawdzie meczetem, ale służył za zbrojownię i muzeum wojskowe.

Nad absydą w górze ciemny znak krzyża, a na dole w miejscu ołtarza wielki portret Ataturka wśród zielonych wieńców i bukietów róż. Wzdłuż głównej nawy w gablotach broń biała i palna różnych epok od najdawniejszych koncerzy i bułatów do najnowszych szabel, od skałkowych pistoletów do ręcznego karabinu maszynowego. Na górze zaś gdzie mieścił się chór, mamy rewję... upiorów. Na baczność stoi cały dwór padyszacha w czerwonych, białych niebieskich, jedwabnych i aksamitnych szatach, w kaftanach ze złotogłowia i w szerokich fałdzistych szarawarach. Drewniani wezyrowie o twarzach z wosku patrzą z pogardą szklanemi ślepiami na długi szereg janczarów wspartych o szable, na pomniejszych bejów czy baszów, którym z rozkazu sułtana posyłali jedwabny sznur — wyrok śmierci. Czarny eunuch, stróż haremu w białym turbanie skłania głowę przed jakimś wysokim dostojnikiem państwowym, członkiem Dywanu, a wielki mufti w ciemnej powłóczystej szacie łaskawie wyciąga dłoń do szarego derwisza, za którym stoi ironicznie uśmiechnięty manekin z dzwoneczkami, karzeł arlekin w błazeńskim czerwono-żółtym stroju. Jeszcze chwila, a zdaje się, że te wszystkie woskowe twarze i te drewniane postacie ożyją, że znowu zaludnią opustoszałe kioski i pałace Seraju, których takie mnóstwo kryje się w cieniu drzew pieprzowych i pomarańczowych, wśród platanów i jaworów.

W SERAJU.

Dawni sułtanowie swą rezydencję budowali w miarę potrzeby, a najczęściej spowodu przelotnego kaprysu żon i kochanek, to też Seraj, czyli pałac sułtański, składa się z szeregu pojedyńczych budynków, a liczy dwa tysiące pokoji. Wystarczy jednak zwiedzić setkę, a może i mniej, by mieć pojęcie, jak tutaj żył władca „wiernych“, największy niewolnik niewolników.

W uroczystych dniach posiedzeń Wielkiej Porty, czyli Dywanu i podczas posłuchań dawanych posłom obcych mocarstw, zasiadał na tronie szerokim, jak sofa, wysadzanym czterema tysiącami pereł i mnóstwem drogocennych kamieni, — tronie, który dzisiaj szacują na siedem miljonów funtów szterlingów. Olbrzymi, wielkości dużego jabłka, szmaragd zwieszał się na złotym łańcuszku nad głową sułtana przybraną w jedwabny, biały turban spięty brylantową broszą.

Złotą łyżką, ze złotych talerzy jadł sułtan, ale zanim kęs jeden włożył do ust, dawał go do spróbowania specjalnej ochmistrzyni, bo o szczyptę trucizny tak łatwo w smakowitej strawie... Zatrute sztylety zdradzieckich wezyrów też czyhały na zgubę satrapy, który dlatego nie miał odwagi uczestniczyć w zebraniach Wielkiej Porty, lecz przysłuchiwał się im zazwyczaj z góry przez maleńkie, zakratowane złoconą kratą okienko.

Nawet w sypialni nie był pewien swego życia, podejrzewając, że za jedwabną zasłoną czai się zguba w postaci pięknej, a zazdrosnej odaliski. Przecież i sułtanka-matka, Valida ciesząca się największemi przywilejami w haremie — potrafiła wskutek

BRONISŁAWA KUMANIECKA.

PROFILE PUSTYNI.

I.

Wierzchołki dynów, wiatrem nagłym zwiane
Burzą się w złotym uniesione pyle
I zagadkowe zmieniają profile,
Jak ręką dziecka domki z kart stawiane.

Lecz jak na twarzy obcej i zaciętej
Wzrok obojętny nie dostrzeże rysy,
Tak próżno dynów przebiega zarysy
Oko profana, ślepotą dotknięte.

Bo na ten pejzaż cichy a płomienny
Patrzeć się trzeba jak Marabout święty,
Który w przestrzeni w bezkres rozciągniętej
Dostrzega wyraz subtelny i zmienny.

II.

Czasem pustynny, rozpalony piasek,
Swe ziarnka drobne w różę sklei szarą:
W kamiennych pączkach jest zapach przestrzeni
Aromat dynów, powietrza i żaru.

Codzień tym samym słońcem nagrzewane,
Zdala od siebie rzucone, nieliczne,
Czekają ręki, która z morza piasku
Wyłowi rzadkie kwiaty krystaliczne.

Codzień tą samą myślą opętani,
W pustyni życia róż z piasku szukamy,
Chociaż są one zlepkiem tego pyłu,
Po którym depcząc, zmęczeni padamy.

Dwanaście godzin w Istambule.

(Dokończenie ze str. 1-ej).

dworskich intryg, opętana żądzą władzy udusić jedynaka Selima trzeciego!

W skarbcu sułtańskim błyszczą kolje ze szmaragdów i z pereł, których jeden sznur dziś warta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, ale te wszystkie klejnoty nie mogły okupić ani wolności padyszacha, ani otrzeć łez tych setek, tysięcy niewolnic przywleczonych z krańców świata, z Egiptu, z Węgier, z Polski, z Rosji, z pod Himalajów i z nad brzegów morza Północnego.

HAREM.

Za trzecią bramą, zwaną Bramą Szczęścia, Bab-Seadet, za budynkiem, w którym mieści się sala posiedzeń Dywanu, i sala audjencjonalna i sułtański skarbiec, jest podwórze zamknięte z czterech stron ścianami drewnianego budynku, w którym mieszkały cztery oficjalne żony sułtana zwane kadynami. Każda miała swój dwór i jedno z czterech skrzydeł haremu.

Zakratowane gęsto balkony, maleńkie okienka tuż pod stropem przypominają więzienie, a raczej pozłacaną, wymoszczoną puchem i jedwabiami klatkę. Lustra, damaszkowe obicia czerwone, niebieskie, szerokie sofy i jakieś strome, wąskie schody wiodące na górne piętra do takich samych ciemnych i małych klitek, w których zwracają uwagę tylko olbrzymie fajansowe piece z wielkiemi drzwiczkami — podobno jedyna droga nielegalnej komunikacji ze światem. Umiały z niej sprytnie korzystać kadyny doskonale poinformowane o wszystkich posunięciach politycznych i mające duży wpływ na zawieranie sojuszów, na wypowiadanie wojny i zrywanie układów. Posłowie obcych państw nieraz musieli zjednywać sobie przychylność sułtana, pozyskawszy wpierw łaskę sułtanek. Sułtankom dostawały się najpiękniejsze podarki, a skarbiec padyszacha tylko im zawdzięcza swą wspaniałość.

W BAZARZE.

Jeszcze jedna oprócz meczetów i Seraju osobliwość nęci każdego podróżnika w Istambule, a mianowicie Wielki Bazar. Pierwotny stary gmach w 1894 roku zniszczyło trzęsienie ziemi, ale w cztery lata później odbudowano to miasto w mieście, posiadające aż 92 ulice i 8 bram. Wszystkie uliczki są ciemne i wąskie, przypominają raczej korytarze. Nawet w biały dzień płoną tutaj elektryczne lampy. Bez przewodnika trudno, a może i niezbyt bezpiecznie zapuszczać się w ten labirynt kramów z dywanami, makatami, szalami jedwabnemi, z bronią wszelkiego rodzaju, z wyrobami tureckiemi z miedzi i stali, z japońską i chińską porcelaną, z arabskiemi wonnościami.

Niektóre zakamarki przypominają żywo Kazimierz, albo Nalewki; jak tam, tak i tutaj targ odbywa się właściwie na ulicy, albo w progu sklepików-pudełek, sklepików-składów zawalonych po sufit stosem rupieci. Nieraz szczęśliwie z najlichszej fabrycznej tandety uda się wyłowić jakieś prawdziwie egzotyczne cacko o artystycznej wartości, ale na poszukiwania niema czasu, zaś wymowny kupiec tak przekonywująco zachwala lada błahostkę, że aby oprzeć się pokusie, jak najszybciej opuszczamy bazar, szukając schronienia w tureckiej kawiarni.

TURECKA KAWIARNIA.

Nie jest ona ani specjalnie stylowa, ani wytworna, ot jakiś pośredni typ między dawną kawiarnią uliczną, która wskutek młodotureckich reform znalazła się na indeksie, a naszą trzeciorzędną knajpką.

Ściany malowane kolorem farbki przypominają wiejską izbę z Bronowic, drewniane ławy, stoliki i „wiedeńskie“ krzesełka też, jak u nas, tylko naprzeciwko drzwi przybita półka ze szklanemi nargilami, z długiemi wężami gumowych rurek zakończonych cybuchami z wiśniowego drzewa przypominają, że jesteśmy w Turcji.

Przy sąsiednim stole siedzi trzech Turków, najgrubszy pali nargile, a dwaj inni popijają pachnącą, mocną, czarną i słodką kawę, którą na żądanie można samemu zemleć w lilipucim młynku i zagotować w mosiężnym imbryczku na gazie. Kłębiący się płyn wlewamy do małej porcelanowej filiżaneczki dodając parę kropel zimnej wody ze szklanki, a kawa staje się momentalnie czysta, klarowna, godna miana: „genjusza snów i źródła wyobraźni“, którem ją obdarzyli tureccy smakosze.

NA AZJATYCKIM BRZEGU.

Niewiadomo naprawdę, jak najlepiej wyzyskać te ostatnie godziny w Istambule. Ten proponuje oryginalny turecki kabaret, ów taniec derwiszów, ale najbardziej ponętna wydaje się wyprawa motorówką do Skutari na azjatycki brzeg, do innej części świata!

Tajemniczo szumią fale Bosforu, a motorówka pozostawia za sobą przez chwilę jasny, fosforyzujący szlak niby mleczną drogę na wodzie czarnej, jak otchłań.

Ciemny wydaje się również Istambuł. Niema nad nim wielkiej łuny miast Europy, której już tu kres. Za Bosforem w Azji świateł jeszcze mniej.

Jesteśmy zdani na gwiazdy spiesząc jakąś błotnistą uliczką, przez zaułki na pagórek, z którego, jak chce przewodnik podobno ujrzymy najwspanialszą nocną panoramę Istambułu, Galaty i Pery.

Na razie jednak nic nie widać, ale za to błoto po kostki, więc zawracamy, bo przewodnik przyrzekł nam również, że zobaczymy wieczorną modlitwę muzułmanów i posłyszymy śpiew muezina...

ŚPIEW Z MINARETU.

Do meczetu jeszcze daleko, rwiemy kłusem co sił przez kupy gruzów, przez rozkopane podwórka zupełnie naoślep i nagle stajemy jak wryci, bo oto odezwał się on, muezin, gdzieś nad naszemi głowami. Łowimy dziwne dźwięki, jakby z niebios samych płynące, tak słabe i żałosne, że w tych ciemnościach nocy wydają się skargą zabłąkanego dziecka, ale po chwili potężnieją pełne tak rozdzierającego bólu, takiej namiętnej rozpaczy, jak płacz osieroconego człowieka, który stoi nad świeżym grobem ukochanej istoty.

I znowu cisza, w której słyszymy tylko bicie własnych serc i przyspieszone tętno krwi w skroniach. A muezin ze Wschodu obrócił się twarzą na Zachód i znów zawodzi, wzywając na modlitwę. Sam niewidoczny, ze szczytu minaretu, patrzy w cztery świata strony, przerywa pieśń, jakby na echo czekał ze wszystkich minaretów Europy, Afryki i Azji. Ale noc jest niema i głucha, a my niewierni nie rozumiemy wezwania: wśród nieznanych słów zdołaliśmy pochwycić jedno jedyne: **Allah - Bóg**, bo ono we wszystkich językach świata wymawiane jest z jednakową czcią.

ICH MODLITWA W MECZECIE.

Wreszcie muezin zamilkł naprawdę, a koło nas wyłoniło się kilka postaci stąpających cicho, jak duchy. To portowi tragarze, drobni kupcy i rzemieślnicy ze Skutari. Obuwie zdjęli w progu i po turecku przysiedli na matach - dywanach ubożuchnego meczetu. Przed mihrabem stanął mufti w czarnej, fałdzistej szacie i bieluteńkim ogromnym turbanie na głowie, i zaczyna śpiewać gardłowym głosem, a od drzwi z prawej strony odpowiada mu jakiś staruch pełniący widocznie rolę kantora. Recytuje bełkocącym głosem cytaty z Koranu, czasem zanosi się piskliwie i niepodobna uchwycić żadnej melodji, ani zapamiętać tych dzikich, groźnych, to znów namiętnych błagalnych tonów, w takt których Turcy przed mihrabem padają na kolana, to nagle powstają na równe nogi, a od czasu do czasu wszyscy wtórują chybotliwemi głosami.

Jeszcze nie skończyli swej modlitwy, gdy opuszczamy meczet i patrzymy na daleki Istambuł usiany teraz punkcikami świateł, niby robaczkami świętojańskiemi, nieodgadniony, tajemniczy, ale znowu pełen niepojętego czaru w tej ostatniej wieczornej godzinie.

KS. DR. FERDYNAND MACHAY.

Z bajek gazdy Borowego.

Ludzie, którzy nie współpracowali o f i a r n i e przy ożywianiu zmartwychwstającej Ojczyzny, nie mogą wiedzieć o trudach, troskach i bólach tych, którzy zdala od swoich, w wielkim nieraz znoju, przykładali cegiełkę do cegiełki, budując gmach niepodległego życia polskiego.

Gdy ś. p. Halczyn i Borowy wyruszyli do Paryża, by tam bronić praw Orawy i Spisza, byli już po „sześćdziesiątce“. Borowy miał pozatem ciężką dychawicę i prawie chroniczny katar płuc; opuszczenie rodzinnych Rabczyc było więc dla niego krokiem pod każdym względem ofiarnym. Wybrał się jednak w tę podróż uciążliwą, bo pragnienie przyłączenia Orawy i Spisza do Polski zamieniło się w nim w miłość ognistą, która paliła jego stare nogi i nie pozwalała na postój lub wypoczynek przed osiągnięciem wytkniętego celu.

Wiekowy Borowy przemawiał tak płomiennie, że słuchając go, odnosiło się wrażenie, iż mówi młodzieniec. Ale... mimo gorącego serca, a może nawet dlatego, życie tułacze i tęsknota trawiły go i niszczyły. Jest coś do głębi wzruszającego w tej jego tęsknocie, której wyraz dawał w swych „bajkach“ tak hojnie rozrzucanych przez niego po wszystkich większych miastach Polski przed zasłuchanym tłumem.

Gdy po posłuchaniu u Wilsona wracaliśmy do Polski ze sztabem armji gen. Hallera, na przyjęciu w Łodzi wygłosił Borowy mowę o „w e s e l u P o l s k i“, która wyraziła subtelny ból tułacza i tęsknotę za Orawą. Oto jeden jej ustęp w mej pamięci i notatkach: „Polska obchodzi teraz jakby swe weselne gody, i mozno o niej to powiedzieć, cok cytoł o pewnym pogańskim kraju. Jest tam — wiycie — taki zwycoj, ze młodzieniec, chcąc się ozynić, przed uroczystością ślubną musi se dać wyrwać zdrowy ząb. Badajo go w ten sposób, cy w małżeństwie bedzie cierpliwy. To sie stało i z Polską: trzy państwa zaborcze juz nie wyrywały, ale wybijały, Polakom zęby przez długi cas i kalecyli ich. To tez teroz, kiedy Polska zmartwychwstała i cekajo je wielkie trudności — jakiez to scęście dla Niej, ze mo tak duzo synów, których zaborcy dokładnie wyucyli cierpliwości! Ej, bo duzo trza bedzie cierpliwości w mądrem kierowaniu państwem, az sie syćkie, przez zaborców potargane cąstki wjedno zrosno... Tak, Polska obchodzi swe weselne gody! Ale na to weselisko niekze zaprosi syćkie swoje dzieci! O r a w a tez prosi o zaprosenie, wyciągając swoje sieroce rącęta do Matki. Sanowni Państwo moze nie wiycie, dlacego nazywom Orawę s i e r o t ą? Dotąd Orawa przez długie wieki zyła pod panowaniem i uciskiem Madziarów, a w języku madziarskim nasą Orawę nazwali „A r v a“ t. j. s i e r o t a. Juz nos Madziarzy nie mogli lepi nazwać! Sierotą bardzo opusconą my byli w ich państwie! Polsko, sierota — Orawa — stoi u twoich bram, u progu nowej budowy, w której odbyło się twoje wesele. Doś nom juz sierocego chleba! Pragnęmy macierzyńskiej strzechy i opieki, miłości serca macierzyńskiego. Polsko, nie wolno ci sie weselić, pokiela Orawy i Spisa, tych dwóch nobardziej opusconych sierot do swego weselnego domu nie zaprosis i w nim nie osadzis!“

W bajkach Borowego zaszczytne miejsce zajmują ptaki i zwierzęta. Kochał szczerze przyrodę i znał ją dobrze. Na tle życia kuropatw taką powiedział „bajkę“ w Zakopanem, w sali Sokoła, w jesieni 1919 r.:

„Jeden roz poseł jogier do lasu na polowanie, Mioł — wiycie — wielki smak na kuropatwy. Hnet mu sie nawinęły i strzeliół do nich. Zabiół s t a r ą, t. j. matkę, a młode sie ozleciały. Gdy kto kuropatwy wystrasy, uny sie ozlatujo na syćkie strony, i schodzo sie dopiero wtedy, kie po ucisyniu matka zacnie ich zwoływać. No, a co sie stanie, jezeli matka zabito? Kto zwoło do wiedna młode i osierocone kuropatwy? Nikt! Zyjo bez dłuzszy cas w opusceniu, cekajo na głos matki i rosno w bolesnem cekaniu. A kiedy urosno, to sie same dorozumio, ze majo sie trzymać wiedno.

To samo sie stało i wtedy, kiedy po strzałach trzech jogrów-zaborców osprósyły sie dzieci polskie po całym świecie. Ale tym jogrom-zaborcom po zabiciu matki zamąciyło się w głowie: po wystrzelaniu i wystraseniu Poloków, chcieli przepłosyć i inne narody. Powstał mąt, który mącicielom nolepi zaskodziół. Jogrzy zadługo byli na nieludzkiem polowaniu... Prace zaniedbali, jeść sie chciało, a nie było co; osłabli, flinty potraciyli... A kuropatwy-sieroty przez cały cos cekały na głos matki, i w międzyczasie rosły w sile i śmiałości. Pomału, pomału próbowały swoich skrzydeł, cy są juz doś mocne do samodzielnego lotanio... I docekały sie: głos macirzyński sie na nowo odezwoł i wjedno je zgromadziół: Polska zmartwychwstała! Schodzo sie młode kuropatwy, zdzicałe, jedna od drugiej odzwycajone, by sie zagrzoć pod skrzydłami matki i pod jej przewodnictwem prowadzić zycie swoje, wesołe i pracowite! Przylatujo do gniozda i dwie kuropatwecki — Orawa i Spis. — Nieśmiało im do gniozda, bo są ze syćkich nobardziej osarpane i zaniedbane. Biedne kuropatwecki! Tele roki były między innymi ptokami, ale uny te swojej mowy nie zabocyły. Siostrzycki-kuropatwy sie im z miłością przypatrujo i do gniozda macierzyńskiego mile zaprosajo.

Tak, Orawa i Spis do polskiego gniozda chco nalezeć i tam sie rozwijać!“

Uniwersalne lekarstwo bonzy.

Przetłumaczył MIECZYSŁAW BABIŃSKI.

Z japońskiego zbioru opowieści „Ho-Man-Dzo“ (magazynu 10.000 klejnotów).

W pewnej wiosce, w świątyni, żył stary bonza (kapłan buddyjski), który nader troskliwie i serdecznie opiekował się okoliczną ludnością. Nachodzili go też często wieśniacy gromadnie, by zobaczyć choćby tylko cień świętego męża i usłyszeć jego głos. Najgorliwszym z nich był hodowca ryżu z sąsiedniej wioski, który we wszystkich sprawach, nieraz błahych, radził się bonzy. Zdawało się, że trudno mu było nawet chrząknąć rano bez zezwolenia bonzy.

Pewnego razu ten gorliwy wyznawca przeziębił się dość poważnie. Zaniepokojony dolegliwością, gdyż nigdy dotychczas jeszcze nie chorował, poddał się troskliwej kuracji żony, lecz żaden środek domowy nie mógł mu ulżyć w cierpieniu. Zwrócił się tedy do bonzy o lekarstwo, ale ten oświadczył mu krótko:

„Nie jestem lekarzem i nie znam środków na przeziębienie. Udaj się w tym wypadku do właściwego człowieka. Ja ci nic nie pomogę“.

Chory jednak nastawał z prośbą:

„Od dzieciństwa nie znałem żadnych doktorów, a we wszystkich sprawach radziłem się ciebie. Twoja dorada uzdrowi mnie spewnością“.

Bonza po namyśle, nie chcąc zrażać wiernego wyznawcy i sądząc, że przeziębienie samo ustąpi po kilku dniach, przepisał wkońcu następujący środek:

„Zerwij trochę łodyg krzewu wistarji, zagotuj je w litrze wody źródlanej, aż otrzymasz silny wywar i pij go po pełnej czarce rano i wieczorem“.

Chory podziękował za lekarstwo; udał się szybko do domu, wyciął w swym ogrodzie kilkanaście łodyg wistarji i przyrządził z nich odwar zgodnie z przepisem bonzy. Po kilku dniach ustał kaszel i zniknęła duszność w płucach. Uzdrowiony tak szybko rolnik udał się do świątyni, gdzie podziękował bonzie serdecznie za skuteczne lekarstwo.

Niestety po pewnym czasie znowu dotknęła go choroba. Tym razem napuchły mu powieki, zaczęły następnie ropieć, a wzrok stał się zamglony. Zrozpaczony pobiegł do bonzy i począł uskarżać się na nową dolegliwość, prosząc o radę. Bonza jednak odparł mu wprost:

„Ta sprawa należy do lekarza, a ja leczę dusze, nie ciała“.

Usłyszał na to stanowcze naleganie chorego:

„Jestem przekonany o twojej mądrości i wierzę w skuteczność twej rady. Musisz mi więc coś poradzić w nieszczęściu. Więcej niczego nie chcę“.

Wobec tego bonza doradził mu znowu:

„Zerwij trochę łodyg krzewu wistarji, zagotuj je w litrze wody źródlanej, aż otrzymasz silny wywar i przemywaj nim oczy rano i wieczorem“.

Rolnik podziękował bonzie, powrócił do domu, wyciął znowu kilkanaście łodyg wistarji w swym ogrodzie i zastosował się ściśle do otrzymanych wskazówek. Po trzech dniach zapalenie oczu ustąpiło. Uradowany pospieszył do świątyni i stokrotnie dziękował bonzie za skuteczne lekarstwo.

Upłynął jakiś czas i nowe nieszczęście zwaliło się na głowę biednego rolnika. W nocy zniknął mu ze stajni jedyny koń, z którego pomocą uprawiał pole ryżowe. Sąsiedzi przypuszczali, że była to sprawka złodzieja. Gdy wszystkie jego poszukiwania i pomoc przyjaciół zawiodły, zmartwiony udał się do bonzy, opowiedział mu o nieszczęściu i prosił o doradę.

Bonza ujrzawszy go już mniej więcej wiedział, o co chodzi. Słuchał więc całego opowiadania jednem tylko uchem. Myślał bowiem w tej chwili o innych, abstrakcyjnych, rzeczach, a z kilku słów, które poprzez potoki narzekań opowiadającego dotarły do jego świadomości, wywnioskował — jakże mylnie — że koń nabawił się nosacizny lub robaków w żołądku. Nie mając wiele czasu tym razem z powodu swoich abstrakcyjnych rozważań, a wiedząc, że natarczywemu wieśniakowi musi dać jakąś radę, gdyż nie ustąpi bez niej, rzekł:

„Zerwij trochę łodyg krzewu wistarji, za-

Rozrywki umysłowe Nr. 20.

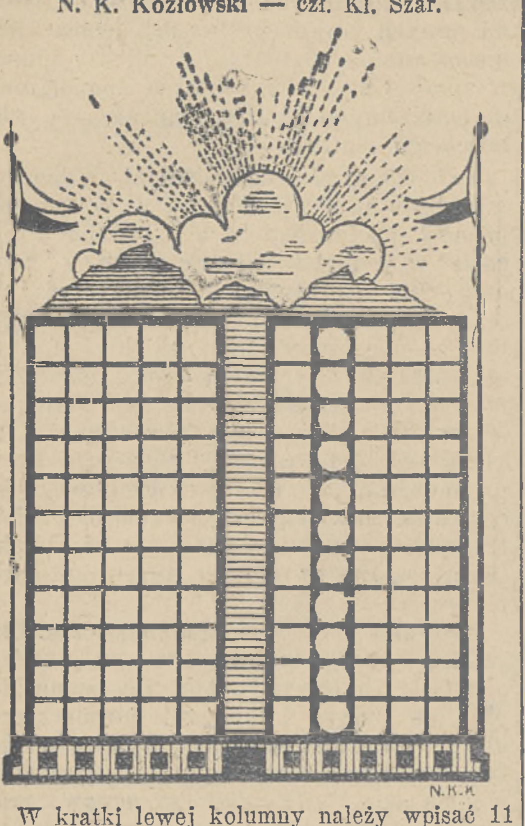
Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Na przypadającą w dniu dzisiejszym rocznicę, tak drogą sercu każdego Polaka, udało się na muzyskać współpracę naszych „Asów szaradowych“ i nadesłane nam zadania, podajemy, jako

KONKURS ROCZNICOWY.

Zadanie 1. — Permutacja Aktualna

N. K. Kozłowski — czł. Kl. Szar.



W kratki lewej kolumny należy wpisać 11 wyrazów o podanem znaczeniu, poczem litery wyrazów tych poprzestawiać i utworzyć z nich nowe, które trzeba wstawić w kratki prawej kolumny w ten sposób, aby litery w kółkach dały drugie właściwe rozwiąznie.

Znaczenie wyrazów: 1. Ozdoba serca ludzookiego; 2. próba, zamaskowanie; 3. sposób, moda, maniera; 4. roślina z rodziny trawowatych; 5. szpula do nawijania nici lub drutu izolowanego; 6. przykupienie; 7. wszystko istniejące, wzięte jako całość; 8. szajka, zgraja; 9. warkocz; 10. produkt mleczny; 11. mały wąs.

Zadanie 2. — Szarada — Wspomnienie.

Inż. J. Modrzejewski — czł. Kl. Szar.

Wy, co wciąż różne spory **piąte - pierwsze - trzecie,**
nie bacząc - **siódme** Polska cierpi na tem straty,
Wy — **szóści - czwarci - drudzy** Narodu — czy wiecie —
co groziło Ojczyźnie przed szesnastu laty?

Wspomnijcie, jakie gwałty, grabieże i mordy
cierpiała nasza **szósta - pierwsza - ósma** srodze,
jak kraj nasz zalewały bolszewickie hordy,
zdawało się, że nic ich nie powstrzyma w drodze.

Widząc, że **piąte - siódme** kraj się ku zagładzie,
wnet w Polsce wszelkie kłótnie i niesnaski prysły:
wszyscy się zjednoczyli, nikt nie stał na zdradzie
Świętej Zgody... I wtedy stał się cud — **„Cud Wisły“.**

Widzimy **czwarte** Zgoda i co Jedność może,
wtedy żadna przeszkoda nic nie **ósma-pierwsze...**
O taką Bratnią Jedność — prosimy Cię, Boże,
i modly zasyłamy do Ciebie najszczersze.

Zadanie 3. — Szarada — Hołd.

„Kasta“ — czł. Kl. Szar.

Dziewięć-sześć, temu szesnaście już lat,
nad **siedem-osiem i jedenastemi,**
kiedy pod bronią młodzieży był kwiat,
zawisła chmura, a z niej, niby grad,
sypały się kule po ziemi.

To **pięć-dwunasta** napaść przeszła front
w dźwięczących **pierwszych i drugich** koronie.
Z nią Śmierć. **Raz-piąty** niewiadomo skąd
przez **siódme-ósme-trzecie** sieje swąd...
A wokół ziemia płonie...

Tuzin-dziesiętni rycerze na kieł
wzięli w momencie upadku ostatnim,
który na strzępy Niepodległość mełł,
Dziś **jedenaste-dziewięć-pierwsze** z dzieł
swych widzą w mogile bratniej.

Z **Czwartej-dziesiątej** wiekuistej szal
Duch nakarmiony nie dba o iperyt.
Drutów kolczastych wskazuje nam stal,
by dać pamiątkę najzaciętszych z walk,
co Cudem się **sześć i cztery.**

Zadanie 4. — Szarada. — Na 15 sierpnia.

„John Ly“ — czł. Kl. Szar.

Już poniechano zwad i **wstecznych wtórych,**
a tylko jedno pragnienie najszczersze,
aby odeprzeć ten najazd ponury,
opanowało wszystkie **siódme-pierwsze.**

Poległych **trzeci dwa** pobojowiskach
to był w głąb kraju by drogowskaz krwawy...
Żelazny pierścień wrogów się zaciskał
już coraz ciaśniej dokoła Warszawy...

W tragicznem onem **czwór-piątem** Warszawa
stała już niemal otworem dla wroga.
Już się ratunek niepodobnym zdawał
bez **sześć-siódmego** jakiegoś od Boga.

Dziewięć-raz (z haczkiem) dział złowrogi pomruk.
Na przędzę wspomnień nasnuwam godzinę,
gdy w zachwyceniu bohaterskiem pomrą,
iżby żyć wiecznie. Ci pod Radzyminem...

A **osiem-czwartym** mogił, przepojonym
krwią bohaterów, odrodził się cały
Naród i stanął gotów do obrony,
aby zwycięstwo odnieść pełne chwały.

Osiem-trzy-piątej był to bój dwóch potęg:
ducha wolności z przymusem niewoli.
W obywatelską pierwszy zbrojny cnotę
musiał zwyciężyć... Zwykła dziejów kolej.

Zadanie 5. — Szarada — Memento.

„Andrus“ — Kraków.

Wśród **wspak czwartych** zielonych, **wspak pierwszych** kwiecistych,
pod błękitnem sklepieniem rodzimego nieba
zrodził się ten człek prawy i o rękach czystych,
Polak i patrjota, jakich nam potrzeba.

Nie badał **drugich pierwszych,** nie dbał o **dwa-trzecie,**
piąta-trzecie angielskie obcemi mu były,
bo chleb polski wolało to wsi polskiej dziecię,
a Ojczyzna i wolność zdwajały mu siły.

Gdy bolszewicy nasze nachodziły strony,
gdy cofały się wojska i drżeli wodzowie,
on wezwał swój lud polski do kraju obrony,
a lud polski usłuchał, co mu **Cały** powie.

Dziś ma za to nagrodę, za słowa i czyny,
którym byli posłuszni patrjoci wierni.
Skronie innych wieńczyły i wieńczą wawrzyny...
On też otrzymał wieniec, lecz **czwór-trzeci...** z cierni.

Za rozwiązanie powyższych zadań Redakcja przeznacza nagrodę książkową. Termin nadsyłania rozwiązania do dn. 15 września r. b. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem Redakcji dla „Działu Rozrywek Umysłowych“. Załączanie kuponu, jak zwykle, obowiązują jedynie tych Czytelników, którzy nie prenumerują stale „Głosu Narodu“, ani też nie zapisywali się na listę stałych odbiorców niedzielnych dodatków.

JÓZEF POPIELIŃSKI.

Francuz twórcą rasizmu niemieckiego.

Narodowy socjalizm w Niemczech dął i dmie wciąż w tubę propagandy swoistych idei rasistowskich. będących właściwie odmianą megalomanji narodowej. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że megalomanja nie jest cechą specjalnie niemiecką, a i wśród innych narodów były zawsze i są grupy, które manifestują w stosunku do innych swoją wyższość, jednak megalomanja niemiecka jest zagęszczona do niebywałych granic, posiada ogromne napięcie, które wyladowało się już raz w postaci wszechświatowej pożogi wojennej. Niemcy uważają siebie już nietylko za „naród panów“ (Herrenvolk), ale nawet za Gottvolk (naród Boga), powołany do wyrąbania sobie mieczem władania nad światem. O ile megalomanja innych narodów bywa często nieszkodliwa, o tyle megalomanja niemiecka wyrażona obecnie w teorjach rasistowskich łatwo może stać się pochodnią, która znów podpali świat. Klęska wojenna zadała straszliwy cios megalomanji niemieckiej, jednak nie na długo, bowiem w ostatnich latach odżyła ona tem potężniej w nowej postaci pogańskiego rasizmu.

Teorjom rasistowskim w Niemczech nadaje się pozory naukowości; tendencje te jednak wywołują ironiczny uśmiech pobłażania u antropologów z poza Niemiec. I nic dziwnego. Są to teorje bez poważnego uzasadnienia naukowego, teorje zupełnie dowolne, będące raczej wytworem fantazji. Jeden z najwybitniejszych niemieckich rasistów Alfred Rosenberg w dziele „Mit XX wieku“ definjuje rasę jako „uczucie“, jako mistyczną „syntezę“. Taka abstrakcyjna, nic nie mówiąca definicja, jest poprostu frazesem pozbawionym treści, przeznaczonym dla mas, które łatwiej uwieść pustą, demagogiczną frazeologją, niż głęboką myślą.

Na teorjach rasistowskich ciąży pierworodny grzech dyletantyzmu. popełniony przez właściwego autora myśli rasistowskich, Francuza, hr. Józefa Artura Gobineau (1816—1882). Był on z pewnością lepszym dyplomatą na stanowisku posła w Teheranie i Atenach, w Rio de Janeiro, czy w Sztokholmie, niż myślicielem w zakresie historji i socjologji. Szczery katolik i konserwatysta, wróg liberalistycznych prądów swego wieku. Gobineau zamknął w czterotomowem dziele „Szkice o nierówności ras ludzkich“ (Essai sur l'inegalite des races humaines, 1853—55. Paryż) swe wyznanie wiary społecznej i politycznej. Myśli, zawarte w tem dziele, stały się źródłem niezliczonych spekulacyj rasistowskich w Niemczech aż do ostatnich czasów. Dzieło Gobineau miało być na wielką skalę zakrojonym obrazem dziejów ludzkości, było jednak — obok wielu istotnych wartości i odkryć — pochwałą starego rodu „Gobineau“, który autor wyprowadzał od germańskich Normanów.

Teorja Gobineau na temat nierówności ras ludzkich nie mogła zachwycić Francuzów, którzy właśnie w 1870-71 ponieśli klęskę w wojnie z Niemcami. Nie mogła wzniecić zachwytu u Francuzów, skoro twierdził, ża od czasu wędrówki narodów wszystkie wielkie zdobycze cywilizacyjne należy przypisać Germanom, jako najszlachetniejszej rasie wśród białych ludów.

Gdy Gobineau umarł, nikt nie zatroszczył się o jego spuściznę; znaleźli się natomiast w Niemczech gorliwi wyznawcy Francuza-rasisty, a wśród nich najgorliwszy profesor Ludwig Scheman z Fryburga i ci zajęli się jego spuścizną duchową. Prof. Scheman nabył od spadkobiercy autora „Szkiców“ wszystko, co uważał za godne nabycia a środków na to dostarczyła cesarska uniwersytecka bibljoteka w niemieckim wówczas Strassburgu. Wszystkie rękopisy Gobineau, całą jego bibljotekę i urządzenie pokoju, w którym pracował razem z popiersiem Gobineau'a, wykonanem przez niego (zajmował się bowiem z amatorstwa rzeźbiarstwem), — umieszczono w specjalnej sali, urządzonej jako małe muzeum ku czci Gobineau.

Gdyby zapytać dzisiejszego wykształconego Francuza, jakie znaczenie posiada Gobineau w dziejach kultury francuskiej, otrzymalibyśmy odpowiedź, że jego idee były kaprysem artystokraty, który uroił sobie normańskie pochodzenie. Jeżeli jednak dziś żyją jeszcze opinje Gobineau, to zawdzięczać to należy przedewszystkiem Ryszardowi Wagnerowi, Nietzschemu i narodowym socjalistom. Francuzi nie bez złośliwości podnoszą, że Niemcy, by znaleźć dowody na to, że są „narodem panów“ musieli sięgnąć po teorje francuskiego hrabiego-dyplomaty. Niemcy zaś uważając Gobineau'a za twórcę nauki o rasach, przypisują mu, że swojemi „odkryciami“ dał nowy i silny impuls antropologji i że doniosłość tego impulsu dopiero teraz można ocenić, kiedy narodowy socjalizm zwyciężył.

W rozwoju teoryj rasistowskich od Gobineau do współczesnych rasistów niemieckich uderza jako rzecz charakterystyczna pogańskość rasizmu niemieckiego, gdy natomiast Gobineau był szczerym katolikiem i zapewne nigdy nie przypuszczał, by jego teorje rasistowskie mogły przybrać formę antychrześcijańskiej filozofji. Wiara jego była głęboka i bezkompromisowa. Przy całem swem wrogiem ustosunkowaniu się do rasy semickiej Gobineau był pełen czci dla Starego Testamentu, gdy natomiast rasiści niemieccy Stary Testament całkowicie odrzucają.

Wskutek tego, że „Szkice o nierówności ras ludzkich“ cechuje polot artystyczny i literacki, chciano je uznać za epopeę rasy germańskiej. To dążenie nie zyskało powszechniejszego uznania w Niemczech, natomiast przypisuje się Gobineau bezapelacyjną zasługę za to, że po raz pierwszy poruszył doniosłość rozważań nad rasą i jej znaczeniem w rozwoju kultury.

gotuj je w litrze wody źródlanej, aż otrzymasz silny wywar i daj to koniowi wypić“.

Rolnik ucieszony niezmiernie, że tak szybko otrzymał poradę w bardzo poważnej dla niego sprawie, podziękował bonzie w gorących słowach i pobiegł czemprędzej do domu.

Tu nastąpiło małe rozczarowanie. Oto żona zainteresowała się radą bonzy:

„Cóż ci on doradził?““

„Dał mi przepis, w jaki sposób mogę odzyskać konia“.

„Przepis? Jaki przepis?“

„Muszę zerwać trochę łodyg krzewu wistarji, zagotować je w litrze wody źródlanej, aż otrzymam silny wywar i muszę dać to wypić koniowi“.

„O ty pusta mózgownico!“ — wykrzyknęła żona. — „Jakże dasz wypić odwar koniowi, którego niema? A gdybyś zaś go odnalazł, to na co ci się przyda przepis bonzy?“

I w dalszym ciągu drwiła:

„Dziwnym doradcą jest ten twój bonza. Naturalnie kaszel i zapalenie ócz ustąpiły, gdyż tak chciały bóstwa. W żadnym zaś razie nie był to skutek lekarstw bonzy... Jest wielka różnica między twoją chorobą a stratą konia“.

„Co ty możesz wiedzieć o mądrości świętego człowieka?“ — wybuchnął wtedy mąż. — „Że też wy kobiety zawsze macie tak długie języki. Przygotujno lepiej naczynie na wodę i rozpal ogień. Ja tymczasem pójdę po łodygi wistarji“.

W ogrodzie zobaczył, że już zabrakło łodyg potrzebnego mu krzewu. Wyszedł przeto z ogrodu i udał się na pobliskie wzgórze, gdzie rosły dziko wistarje. Jakież było jego zdziwienie, gdy spostrzegł swego konia zaplątanego w krzewach. Łatwo rozpoznał po zerwanej uwięzi, że koń nie został skradziony, lecz sam zerwał pęta, rozbił wrota stajni i zbiegł na wolność. Uradowany podszedł do konia, porozcinał zaplątane krzaki i chciał go dosiąść. Koń jednak, zakosztowawszy raz swobody na łonie przyrody, stawił silny opór.

Przypomniał sobie wtedy łatwowierny rolnik radę bonzy, czemprędzej naciął naręcze łodyg wistarji i pędem ruszył do domu, gdzie opowiedział żonie o radosnem odkryciu. Usłyszał na to kilka słów nieprzyjemnych, wypowiedzianych z przekąsem:

„Ugotujże więc teraz ten odwar i zanieść do wypicia bonzie, może go wyleczy z dawania lekarstw na odnalezienie konia“.

Pominął milczeniem tę ironiczną uwagę. Napełnił butelkę odwarem i udał się w to miejsce, gdzie zostawił konia. Odnalazł go z łatwością. Uciął wtedy trzy proste gałęzie, złączył je razem i tym grubym drążkiem palnął silnie zwierzę między uszy, aż konisko zachwiało się na nogach i runęło na ziemię. Wtedy usiadł mu na głowie, rozsunął zęby i wlał lekarstwo bonzy. Po pewnym czasie koń przyszedł do siebie i dał się już spokojnie odprowadzić do stajni.

Przed domem ze zdziwieniem na twarzy oczekiwała żona powrotu męża. Rzucił jej tylko w przechodzie:

„No i cóż teraz powiesz?“ — poczem przebrał się w odświętne kimono i poszedł do świątyni. Tam opowiedział w radosnych słowach bonzie o skuteczności jego lekarstwa i prosił niebiosa, by jaknajdłużej darzyły błogosławieństwem tego najlepszego z lekarzy.

KUPON Nr. 20.

ważny do dnia 15-go IX b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE.

Przegląd spraw religijnych.

Sfery katolickie Austrji nie są zgodne w ocenie wartości i następstw ugody austro-niemieckiej z 11-go lipca. Dowodzi tego żywa polemika, która się w tej chwili toczy.

PRÓBA „OCHRZCZENIA“ NARODOWEGO SOCJALIZMU. — Episkopat Austrji wyraził swój pogląd w liście pasterskim kard. Innitzera, który położył nacisk na oświadczenie, że umowa winna być „narzędziem pokoju“ i przyrzekł w imieniu Episkopatu w tym kierunku pracować. Orędzie to było pozbawione wszelkich politycznych akcentów, a tem mniej wszelkich akcentów sympatji dla narodowego socjalizmu.

W parę dni potem ogłosiła „Reichspost“ artykuł nie podpisany, ale zaopatrzony w uwagę, że pochodzi od jednego z dostojników Kościoła... Autor pisał, że należy w narodowym socjaliźmie niemieckim odróżniać „konserwatywny“ element od „radykalnego”, a obowiązkiem katolików jest zbliżyć się do pierwszych, by zmniejszyć wpływy drugich. W odpowiedzi na to wystąpienie Arcybiskup salzburski, Wajtz, ogłosił publiczne oświadczenie, że kler Austrji nie ma nic wspólnego z postawioną w wzmiankowanym artykule tezą. Równocześnie zaś katolicki tygodnik, poświęcony ideologji encyklik papieskich, „Der Christliche Ständestaat“, stojący blisko kanclerza Schuschnigga, zajął bardzo ostre, negatywne, stanowisko w stosunku do koncepcji wyrażonej w artykule „Reichspost“. Zaczęła się dyskusja, która dotąd trwa.

LICZENIE SIĘ Z FAKTAMI. Jako pierwszy zgłosił się do niej autor artykułu z „Reichspostu“ uchyliwszy przyłbicy. Pokazało się, że jest nim Rektor kolegjum teologicznego Austrji w Rzymie, Biskup Hudal. W drugim swoim artykule w „Reichspost“ podtrzymuje swoją pierwotną diagnozę narodowego socjalizmu i dalej broni swego stanowiska, że katolicy winni skorzystać z zawartej umowy austro-niemieckiej i wejść w szeregi narodowego socjalizmu, aby go „ochrzcić“. Kościół bowiem — jego zdaniem — musi się liczyć z faktem narodowego socjalizmu i winien spróbować nadać mu chrześcijańskie znamię.

„Der Christliche Ständestaat“ nie pozostał dłużnym w odpowiedzi. ... „Z narodowym socjalizmem — oświadcza — Kościół musi się nie liczyć, ale walczyć. Pokój z III Rzeszą jest rzeczą dobrą, ale pokój z narodowym socjalizmem oznacza śmierć...” Tak to umowa z 11-go lipca wydobyła na jaw pewne nadzieje co do możliwości „ochrzczenia“ narodowego socjalizmu, ale i wolę walki z nim aż do zwycięstwa w innych kołach. Przyszłość pokaże, która strona miała rację.

KATOLICYZM W PALESTLYNIE. — W „La Croix“ znajdujemy ciekawą statystykę wyznaniową Palestyny. Przytoczymy parę szczegółów:

Właściwa historja katolicyzmu w Ziemi świętej zaczyna się w r. 1219 utworzeniem kustodji dzięki staraniom św. Franciszka z Assyżu. Cyfry podające rozwój katolicyzmu mamy dopiero z r. 1650. W tym roku na terenie całej Palestyny wraz z Transjordanją liczono katolików 218. W roku 1700 było ich 1.199. W r. 1800 — 3.100. W roku 1825 — 3.079.

W roku 1847 Pius IX bullą „Nulla celebrior“ utworzył patrjarchat łaciński w Jerozolimie i jego jurysdykcji poddał właściwą Palestynę, Zajordanję i Cypr. Od tego czasu zaznacza się szybszy rozwój katolicyzmu. I tak, gdy w r. 1850 było na tym obszarze 4.270 katolików, to w roku 1875 — było 6.572, w 1900 — 14.311 katolików.

Obecnie stan katolicyzmu jest następujący: — w Judei na 628.359 ludności, muzułmanów jest 440.606, żydów 133.682, chrześcijan różnych wyznań 53.643, a katolików jest 20.468. — W Samarji na ogólną liczbę ludności 156.445, muzułmanów jest 153.159, żydów 690, chrześcijan różnych wyznań — ?.421, a katolików 801. — W Galilei na 251.017 ludności, muzułmanów jest 165.947, żydów 40.248, chrześcijan różnych wyznań jest 35.334, a katolików 26.494.

SEMINARJUM MEKSYKAŃSKIE NA ZIEMI STANÓW ZJEDNOCZONYCH. — Z Meksyku nadchodzą sprzeczne wiadomości. Z pewnych wynikałoby, że się zanosi na złagodzenie stosunku państwa do katolicyzmu. Inne przeczą tym horoskopom. Obchodzi nas w tej chwili inna wiadomość...

Oto Episkopat meksykański przystąpił do zabezpieczenia nieszczęśliwemu krajowi nowych kapłanów. Liczba bowiem tych, którzy mogli zostać w Meksyku, jest zbyt szczupła, w stosunku do potrzeb, a wcześniej czy później stosunki się zmienią i bramy Meksyku otworzą się dla duchowieństwa.

Z tego względu Episkopat Meksyku postanowił stworzyć seminarjum duchowne na obczyźnie, mianowicie na terytorjum Stanów Zjednoczonych, w pobliżu granicy meksykańskiej. Potrzebne na ten cel fundusze płyną już ze strony katolików meksykańskich i katolików Stanów Zjednoczonych. Już w jesieni bieżącego roku seminarjum meksykańskie ma rozpocząć działalność.

Kościół bowiem nie zwykł ustępować przed żadnemi trudnościami, gdy idzie o dobro dusz i chwałę Boga.

Pejot.

Warunki zgody.

Pisaliśmy tu niedawno o strapieniu młodo-konserwatywnego publicysty, p. Ksawerego Pruszyńskiego, który w „Buncie Młodych“ dał wyraz trosce o Ks. Kardynała Hlonda z powodu, iż Prymas Polski rzekomo nie wstępuje w ślady Kard. Faulhabera, bo nie gromi antysemityzmu w Polsce. Oświadczyliśmy wtedy, że rola Kardynała Faulhabera polega nie na obronie żydostwa, ale na obronie źródeł Objawienia, m. in. i Starego Zakonu, przed natarciem neopogaństwa hitleryzmu.

P. Ksawery Pruszyński ma jednak inne jeszcze zmartwienie. Jest niem *dobry na ogół stosunek między katolicyzmem polskim, a obozem narodowym*, czyli „nacjonalistycznym“. I temu zastrzeżeniu dał wyraz w „Czasie”, zarzucając poznańskiemu, świetnemu, tygodnikowi „Kultura“ brak oryginalności, uleganie wpływom nacjonalistycznego „Prosto z Mostu”, a nawet radząc złośliwie temu tygodnikowi zlikwidowanie wydawnictwa na rzecz tego właśnie „Prosto z Mostu“.

Z odpowiedzią na te zmartwienia, czy też rady, pospieszył p. Piasecki, naczelny publicysta z „Prosto z Mostu“. Ale to, co z tej okazji powiedział, wychodzi już poza granice utarczki polemicznej z p. Pruszyńskim *i stanowi jakby próbę doskonałego pogodzenia katolicyzmu z nacjonalizmem polskim*. Z tego powodu zasługuje na omówienie.

P. Piasecki ma rację, gdy z naciskiem podkreśla, że „nie istnieje jakiś jeden nacjonalizm na całym świecie“. Jest to o tyle ważne, że nasuwa wniosek, iż stosunku katolicyzmu do nacjonalizmu n. p. w Polsce nie można i nie należy ustalać na podstawie stosunku tych dwóch sił do siebie n. p. we Francji, lub w Niemczech.. W jednym kraju nacjonalizm może być w dobrych stosunkach z katolicyzmem, — w innych zaś może z nim prowadzić wojnę. Zresztą — historia docet... Z tego względu szczerzy katolicy z obozu nacjonalistycznego (w Polsce n. p. Gluziński, Doboszyński) wyrzekają się terminu: „nacjonalizm“, jako zbyt ogólnego, a nadto zawierającego tendencję do tworzenia własnego światopoglądu, natomiast wolą mówić o ideologji „narodowej“, o ruchu „narodowym” i t. p. Zdaje mi się, że mają rację.

Ale stawiając powyższą bardzo słuszną zasadę (rozróżniania między nacjonalizmami różnych krajów) p. Piasecki rzuca kilka nieuzasadnionych twierdzeń. Między innemi w sprawie stosunku włoskich „popolarów” do faszyzmu, — l’Action Francaise, — i niemieckiego centrum.

Twierdzi n. p. że niepowołani „radcowie” w rodzaju p. Pruszyńskiego w Polsce „zepchnęli” nacjonalistów z „l’Action Française” w szeregi ludzi walczących z Rzymem. Jest to przesada! A, że przyczyną potępienia „l’Action Française” przez Rzym były — nie „rady“ francuskich p. p. Pruszyńskich, lecz — *istotne błędy doktrynalne Maurrasa przeciw wierze i moralności*, — o tem dowie się p. Piasecki z książki p. t.: „Pourquoi Rome a parlé“ (Dlaczego Rzym przemówił?), w której najgruntowniejszą odpowiedź na powyższe pytanie dał Jakób Maritain, cieszący się właśnie w tygodniku „Prosto z Mostu“ słusznie dużym autorytetem.

Również nie można zgodzić się z p. Piaseckim, gdy nas zapewnia, że „nacjonalizm niemiecki (hitleryzm)... stał się pogańskim nie bez winy katolicyzmu niemieckiego, który — zamiast zdobywać wpływy w niemieckim ruchu narodowym — przeciwstawił mu się...“ *P. Piasecki najwidoczniej nie zna istoty hitleryzmu i jego ewolucji w zakresie ideologicznym, jeśli wierzy, że był czas, kiedy katolicyzm mógł „zdobywać wpływy“ w hitleryźmie.* Hitleryzm powstał i rozwinął się jako protest przeciw wszystkiemu, co do roku 1920 formowało duszę zbiorową Niemiec, a więc i przeciw katolicyzmowi. Religję pojmował zawsze i dotąd pojmuje tylko jako narzędzie i tylko pod tym warunkiem gotów jest ją tolerować, że religja przyjmie pogański rasizm, religję imperjalizmu, gwałtu i nienawiści i że się da użyć za narzędzie polityczne kierowników III Rzeszy...Nie! W stosunku hitleryzmu do katolicyzmu mogą zachodzić raz odprężenie, a kiedy indziej zatarg i walka. Porozumienie jednak, oparte na wzajemnem zaufaniu, jest niemożliwe.

Ale — cóż nas to obchodzi, czem jest i czego chce nacjonalizm francuski, włoski lub niemiecki! *Myślmy o polskim nacjonaliźmie!*

P. Piasecki należy do tych polskich nacjonalistów, którzy nie chcą swego katolicyzmu odmierzać procentami. „Katolicyzm, pisze — to jest wiara i pogląd na świat, który przenika wszystko, który musi uzewnętrzniać się we wszystkiem, co czyni katolik. Przenika naukę, przenika sztukę, przenika politykę“.

Przyjmujemy to wyznanie p. Piaseckiego z pełnem uznaniem. Sądzę, że, gdyby się stało wyznaniem całego obozu narodowego w Polsce (a nie tylko jego części), i gdyby zostało wykonane w całej rozciągłości i konsekwentnie, to — jestem przekonany — zbędnemi-by się stały dyskusje na temat stosunku nacjonalizmu do katolicyzmu.

A nie jest to tylko uwaga rzucona dla samej przekory... Nacjonalizmu w Polsce nie tworzy sam p. Piasecki, ale i inni. Wszak jeszcze w ostatniem wydaniu „Myśli Nowoczesnego Polaka“, Dmowski zostawił dawne swoje twierdzenie, iż chrześcijaństwo daje tylko etykę życia indywidualnego, a nie zbiorowego.

Dalej — konsekwencja!

Jeśli pełny katolicyzm, to — niech będzie pełny!... Niech katolicyzm polskiego nacjonalizmu objawi się m. in. w przyjęciu także społecznych zasad Kościoła. Bo jest uderzającem, że *społeczne poglądy tego obozu w Polsce często przypominają raczej poglądy Maurrasa, niż Leona XIII-go lub Piusa XI.* A przecież — zgodzą się wszyscy, tak nie można pojmować pełnego, integralnego katolicyzmu.

Ale — zakończmy akordem zadowolenia...

Polski nacjonalizm istotnie nie jest nacjonalizmem hitlerowskim, ani nawet maurrasowskim. Wykazuje szczerą i gorącą chęć dojścia do ścisłego porozumienia z Kościołem, nie tylko w dziedzinie indywidualnej etyki, ale i zbiorowej, narodowej, społecznej. Zwłaszcza młode pokolenie narodowego obozu ożywione jest tą tendencją.

Może więc niedalekim jest czas, kiedy będziemy mogli z p. Piaseckim powiedzieć, że zgoda nacjonalizmu z katolicyzmem w Polsce jest zupełna i głęboka. Na przekór p. Pruszyńskiemu? Może. Ale, cóż to szkodzi?

L. R.

Z obcej niwy.

Rząd „Frontu Ludowego“ we Francji.

Dojście p. Bluma do steru rządów postawiło katolików Francji wobec zupełnie nowej sytuacji. Jest to rząd t. zw. „Frontu Ludowego“, a więc trzech obozów lewicy: partji radykalnej, która bardziej, niż inne, zwalcza Kościół, — partji socjalistycznej (S. F. I. O.), która stoi na gruncie materjalizmu dziejowego, — i partji komunistycznej, która należy do „Kominternu“, głoszącego „bezbożnictwo“. Wydawałoby się, że stanowisko katolików wobec tego rządu będzie stanowiskiem zdecydowanej negacji i walki.

Takiem też jest stanowisko znacznej części katolików Francji, a wyraz zewnętrzny dał mu prezes „Federacji Narodowo-Katolickiej“ (zorganizowanej diecezjami, a skupiającej wielką liczbę katolików do walki z prądami antykatolickiemi), gen. Castelnau, a organ „Federacji“ miesięcznik „France Catholique“ jeszcze zaostrzył poglądy generała, przypisując rządowi p. Bluma dążność do „wypędzenia“ Chrystusa z Francji i wzywając katolików do walki na ostre.

Przeciw temu stanowisku protestuje wpływowy dwutygodnik, wydawany przez O. O. Dominikanów, p. t. „La Vie Intellectuelle“ (10. VII). *Sens jego wystąpienia streszcza się w myśli, że dojście p. Bluma do steru oznacza koniec „starych czasów“, a przejście do „nowego ustroju“, o którym pisał kard. Verdier. I, że dlatego wskazana jest wielka „ostrożność“ w wydawaniu sądów, by przypadkiem nie popełnić „niesprawiedliwości“ i nie przypisać obecnemu obozowi rządowemu celów, których on nie ma...*

Być może, że „La Vie Intellectuelle“ nie ma racji. Głos tego pisma jest jednak zbyt znamienny, a i — ze względu na autorytet stojących za nim kół — zbyt poważny, by go tutaj nie uwzględnić.

„Front Ludowy“ — czytamy w tym artykule — jest pierwszą większością lewicową, która objęła rządy, nie włączając w swój program wyraźnie walki z „siłami klerykalnemi“, i mistyki laicyzmu. Niektórzy katolicy zaprotestują przeciw temu twierdzeniu i nazwą nas naiwnymi, którzy wyrokują z pozorów i przez to wpadają w sidła bardzo prostego podstępu. Lecz nie jesteśmy naiwnymi... W pewnych awansach robionych katolikom przez partje skrajnej lewicy i w ogólnej prawie gorliwości jej szefów zmierzającej do przygaszenia antyklerykalizmu jest, być może, podstęp, lub przynajmniej taktyka. Zanotujmy jednak, że wybór tej taktyki opiera się na przekonaniu, iż w roku 1936, pod naciskiem kryzysu gospodarczego i wobec groźy wojny światowej, antyklerykalizm na polu politycznem niepopłaca. I zastrzeżmy możliwość faktu dość według naszych doświadczeń częstego, że pewien duch porozumienia lewicy z katolikami odpowiada pragnieniu szczerej i lojalnej współpracy na podstawie poszanowania wolności sumienia.

Stąd, jeśli jest dla katolików francuskich rzeczą ważną, by byli ostrożni i by pilnowali dozwolonych granic, to nie byłoby z ich strony większej niezręczności i w pewnem znaczeniu niesprawiedliwości, jak wycofanie się zgóry na pozycję zupełnej negacji, a zwłaszcza wystrzelenie pierwszych strzałów. W samą porę pojawiło się jasne oświadczenie kard. Verdiera, przypominające im, że istnieje nieludzkie zjawisko nędzy, bezrobocia i kryzysu, i że wszyscy Francuzi winni wspólnie pracować nad rozwiązaniem ekonomicznych problemów. Znakomitem również było przemówienie p. Le Cour-Grandmaison w Izbie Deputowanych, przypominające komunistom wszystkie punkty ich programu, które zdają się być wyjętemi z doktryny społecznej Kościoła. Taksamo doskonałe było, mocne w tonie, ale i pojednawcze (conciliant), wystąpienie p. Fr. Saint-Maur w Senacie.

Bądźmy przedewszystkiem lojalnie obecnymi tam wszędzie, gdzie nimi możemy być w pełnej zgodzie z naszą wiarą. Nie spieszmy się z proklamacjami, że Kościół jest zagrożony przez „eksperymenty“ gospodarcze i społeczne, do których krytykowania i zwalczania mamy doskonałe prawo, lecz pod warunkiem, że to będziemy robili na tym gruncie, na którym się rozwijają; możemy, jeśli się nam tak będzie podobało, sprzeciwiać się reformie Banku Francji, albo nacjonalizacji przemysłu wojennego, ale strzeżmy się przed robieniem tego „w charakterze katolików“ (en tant que catholiques). Kiedy atakują nasze religijne wolności, brońmy ich zdecydowanie; lecz — na miłość Boską — nie krzyczmy zgóry, że nas ze skóry obdzierają! I bądźmy przekonani, że — zawsze, a szczególnie dzisiaj, gdy zajmujemy pozycję mniejszości — niema dla nas lepszej polityki w obronie religji, jak polityka sprawiedliwości społecznej“.

Powyższe wystąpienie tłumaczy się dość jasno ostatniem zdaniem... Tak się nieszczęśliwie złożyło we Francji, że olbrzymia, przygniatająca większość mas ludowych — (miasta i wsi) skupia się w organizacjach socjalistycznych i komunistycznych, których politycznym wyrazem jest rząd „Frontu Ludowego“. Katolicy nastawieni „społecznie” stanowią „mniejszość”. Byłoby — zdaniem „La Vie Intellectuelle” — źle, gdyby ta mniejszość poszła do walki z obecnym rządem przy boku sfer przemysłowych i kapitalistycznych. Stąd to ostrzeżenie...

Polska oczywiście ma zupełnie inną sytuację społeczną, a nasze masy ludowe nie są zaprzedane socjalizmowi i komunizmowi.

—ooo—